

Błyskawiczna kariera irlandzkiego dramaturga

McCzechow

„Kaleka z Inishmaan” Martina McDonagha w Teatrze Powszechnym to najlepszy – jak dotychczas – warszawski spektakl w sezonie. Widowisko mądre, wyważone, przejmujące.

JACEK SIERADZKI

Ktoś kto od teatru oczekuje nade wszystkim opowiadania zajmujących historii tudzież bogatych ludzkich wizerunków, od dawna już czuje się na widowniach jak stary osioł. Apostołowie postmodernizmu wmawiają mu, że opowiedziano już wszelkie fabuły, które były do opowiedzenia; można tylko żonglować gotowymi elementami, dziwować się nieoczekiwanym zestawieniom, brać wszystko w cudzysłowy i nawiasy. Mniejsi i więksi teatralni szamani dbają wyłącznie o swe klimaciki, za nic mając logikę i klarowność opowieści. Partacze rysują fabułę i bohaterów po linii najmniejszego oporu: sztamkowo i powierzchownie, w głębokim przekonaniu, że widowie i tak kupią. Nudziarze i efekciarze nudzą, niezależnie od intencji. I tylko niekiedy, pomiędzy stertą poprawnych banałów, chybionych ambicji, odkryć bez pokrycia i erupcji narcyzmu, trafia się widowisko w istotny sposób absorbujące i myśli, i emocje. Mądre, wyważone, przejmujące.

Jakże rzadkie to święto.

Rzadkie nie tylko w Polsce. Nie bez kozery krytycy angielscy, skądinąd rozpieszczeni obfitością i profesjonalnym poziomem sztuki dramatycznej w swoim kraju – więc wymagający i nieskłonni do egzaltacji – wpadli w euforie, gdy na londyńskich afiszach pojawiło się nazwisko Martina McDonagha, młodego pisarza o irlandzkich korzeniach. Błyskawiczna kariera tego dziś niespełna trzydziestolatka została umiejętnie podsyczona odpowiednią dozą skandalu (odbierając prestiżową nagrodę laureat nieprzystojnym słowem zelżył ni mniej ni więcej Seana Connery'ego, co roznieśli dziennikarze – i co przy okazji polskich prapremier również jest wybijane w prasowych zapowiedziach). Poza nonszalancją było wszakże u McDonagha o wiele więcej do zauważenia. Nade wszystko niesłychana, samorodna łaćwisko wysnuwania fabuł i sytuacji scenicznych, lekkość i precyzja konstrukcji, wyrazistość postaci. Mozartowski, rzekłoby się, talent.

Patrzcie i ucicie się autorzy sceniczni, jak naturalnie pisarz wprowadza widzów w srodek portretowanego świata: na zapadłą irlandzką prowincję. Jak kreśli – powiedzonymi, refrenami, zawieszaniami głosu – bohaterów: prostodusznych, acz nie prostackich. Mieszkańcy Inishmaan są przede wszystkim komiczni.



Edyta Olszówka i Rafał Królikowski w spektaklu „Kaleka z Inishmaan” w warszawskim Teatrze Powszechnym

Każdy ma jakiegoś fioła, jakąś śmiesznośćkę: stare ciotki – opiekuńcze kwoki, narwana piękność i jej osło uparty braciszek, nałogowy wiejski plotkarz i wiecznie zapita mamusia. Galeria oryginałów została tak wspaniale nakręcona, że śmiech nie milknie nawet wtedy, gdy widzowie dostrzegą, czym jest podszyty. A jest podszyty czystym, nijak nie amortyzowanym okrucieństwem. Ranią się głęboko i boleśnie – od niechęcia, bez złości i premedytacji. Jakby zrogowaciały im receptory wrażliwości. Zdają się w swym mimowiednym egoizmie potworami, przy których tytułowy „kaleka z Inishmaan” z niewładną ręką i nogą sprawia wrażenie względnie normalnego. Mimo wszystko nie zostają pogrążeni ze szczerem. Stać ich na drgnienia czułości, na odruchy serca, które w całej tej prześmiesznej i przestrasznej czerńi błyszczą jak blask słońca.

to recepta na McDonaghowski przekładaniec, jedno z najoryginalniejszych ciast, jakie wypieczono ostatnio w teatralnej kuchni. Młody pisarz obśmiewa swoich bohaterów świetnie wiedząc, że są więcej wari niż ich śmieszności. Nie idealizuje, widzi ich trzeźwo, bez upiększeń. Ale rozumie ich i lubi. Chyba dosyć podobnie lubił i rozumiał swoje postaci pewien znany rosyjski doktor sprzed stu lat. Jego irlandzki prawnuk jest, rzecz

jasna, dosadniejszy, mniej sentymentalny, ostrzej widzi kontrasty. Opowiada jednak z grubsza o tym samym, co autor „Trzech sióstr”. O tęsknocie do lepszego życia i złudzeniach rozwijających się z biegiem lat. O mijaniu się ludzi. O miłości maskowanej w najdziwniejsze sposoby. O śmierci – niepatetycznej i dalekiej od wzniostych klisz.

„Trzy siostry” nieszczerze udały się przed rokiem na małej scenie warszawskiego Powszechnego; polska prapremiera „Kaleki z Inishmaan” w tejże sali jest tamtej porażki za-dosćuczynieniem brawurowym i satysfakcjonującym. Pod reżyserką opieką duetu Agnieszka Glińska&Władysław Kowalski wszystkie warstwy przekładańca zachowują swój smak. Kowalski gra popisową rolę: zapalczego roznosiciela miejscowych nowin, zdeptanego, chaplinowskiego człowieczka. Zawieszając na kołku instynkt aktorski (każący za wszelką cenę bronić postaci) schodzi w zupełnie niebywałe głębiny upokorzeń, doskonale wiedząc, że parę zdań w finale odbuduje mu szacunek widowni. Młodziutki Łukasz Garlicki sympatycznie, bez przeszedzenia daje sobie radę z rolą tytułową. Postać narwanej Helen skrywającej wrażliwość za maską szorstkości zda się idealnie skrojona na Edytę Olszówkę, nieoczekiwany talent komediowy w roli flegmatycznego wiejskiego chłopaka ujawnia Rafał Królikowski. Rozkoszną sylwetkę nieoprawnej miłośniczki whisky tworzy Wiesława Mazurkiewicz. I jest jeszcze naiwnie dystygowana Elżbieta Kępińska, powściągliwie gorzki Krzysztof Stroński. Czuje się na widowni rzadką, ciepłą przyjemność zbiorowego grania.

Na malutkiej scenie, pomysłowo zaaranżowanej przez Magdę Maciejewską, zmieścił się nie tylko sklepik ciotek głównego bohatera. Także łódź wyciągnięta na piasek, symbol niespełnialnej tęsknoty za podróżą w inne życie. Atrybut nostalgicznych marzeń może niekoniecznie bliski ludziom w wiecznym biegu, którzy chcieliby konsumować sztukę tak, jak łyka się serial w telewizji: rzucając jednym okiem na ekran, pijąc herbatę i załatwiając przez komórkę tysiąc spraw. McDonagh jest pisarzem na wskroś współczesnym – ale swój przekładaniec lokuje jednak w roku 1934, gdy podróż mieszkańców Inishmaan na sąsiednią wyspę była problemem, a dziennik telewizyjny skutecznie zastępował natrętny gaduła liczący sobie honorarium za nowiny w jajkach na omlet. Gdy życie nie pruło do przodu, nie zasypywało bohaterów stertami pokus – i tak na biednym, cierpiącym bezrobocie atlantyckim wybrzeżu niedosiężnych. Gdy kino było egzotyką, a amerykańskie cukierki – luksusem. Arkadia? Jeśli nawet tak, to wystarczająco gorzka, by zniszczyć w zarodku sentymentalizm. Nie pierwszy raz zresztą dobra, prowincjonalna Irlandia staje się idealnym polem obserwacji ludzkich sylwetek uchwyconych jak na starym zdjęciu, szorstkich i czułych jednocześnie. Portretował je wspaniale Brian Friel, spadkobierca Czechowa w prostej linii, pisarz niesprawiedliwie słabo w Polsce znany. Teraz i on ma już następcę. Obaj mówią o nas, zatrzymanych w biegu. Złapanych w stop-klatkę.

Warto popłynąć tą łodzią.